

Karlheinz Lau

Z Kostrzyna do Gorzowa przez Berlin

Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny nr 18, 421-424

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Karlheinz Lau
Berlin

Z Kostrzyna do Gorzowa przez Berlin*

Urodziłem się 4 lutego 1935 w Kostrzynie Neustadt jako syn małżeństwa nauczycieli Karla i Susanne Lau. Mam też siostrę młodszą o trzy lata. Mieszkaliśmy przy Moltkeplatz w kamienicy, która w ostatnich dniach wojny – jak wszystkie zresztą domy przy Moltkeplatz – została zniszczona. Część placu zajmował skwer, w którego środku stała rzeźba lwa. Jako chłopcy często się tu bawiliśmy. Podczas pierwszej wizyty po zakończeniu wojny udało mi się rozpoznać miejsce, gdzie stał nasz dom, po pokrywie studzienki z nazwą niemieckiej firmy Eisenwerke Mannheim. Dokładnych i precyzyjnych wspomnień z dzieciństwa w Kostrzynie nie mam. Dotyczy to także wydarzeń związanych z ucieczką i wypędzeniem w roku 1945. Kiedy czytam liczne niemieckie wspomnienia z tamtych czasów, nie mogę wyjść z podziwu, że nawet młodszy ode mnie ludzie dokładnie wiedzą, co zdarzyło się którego dnia. Mam wrażenie, że przeplatają się tam prawda z legendą. Jednak chciałbym opowiedzieć tu o dwóch zdarzeniach, które miały na mnie ogromny wpływ i które pokazują, do jakiego stopnia poruszyła mnie utrata ziemi rodzinnej. Pierwsze z nich to wspomnienie ojca, który wprowadził mnie w historię twierdzy Kostrzyn i następcy trony Fryderyka, późniejszego Fryderyka Wielkiego. **Do dziś mam w żywej pamięci spacer z ojcem po urządzeniach twierdzy nad Odrą.** Duży wpływ wywarły na mnie także częste odwiedziny u wuja Fritza w leśniczówce leśnictwa Osterburg (Sucha koło Karska), znajdującej się we wsi Breitebruch (Łubianka) między Gorzowem a Barlinkiem. Tu miałem okazję pierwszy raz oglądać polowania – co przyniosło skutki wiele lat później: Po przełomie lat 1989/1990 zakupiłem niemiecką kartę łowiecką i nawet miałem już okazję wraz z przyjacielem obserwować bekowisko jeleni w Okuniach, w okręgu łowieckim wuja; było to dla mnie głębokie przeżycie. Wuj

* Poniższy tekst nigdzie nie był drukowany. Zawiera opis niezwyklej drogi, jaką jego autor (wtedy dziecko) przebył wraz z rodziną w roku 1945: uciekł z Kostrzyna do Berlina, skąd został zarządzeniem sowieckim zobligowany do powrotu do Kostrzyna, a ponieważ to miasto leżało w gruzach po kilkutygodniowych walkach, udał się do rodziny w Gorzowie, skąd z kolei został wysiedlony w połowie roku 1945 do Niemiec. Także to wspomnienie zawiera charakterystyczny dla niemieckiego autora punkt widzenia, z którym redakcja „Rocznika” się nie utożsamia. Autor np. podkreśla, iż został usunięty z Gorzowa w ramach tzw. „dzikich wypędzeń”, a to dlatego, że miały one miejsce jeszcze przed ustaleniami konferencji poczdamskiej. Jest faktem bezspornym, iż usunięcie niemieckiej ludności Gorzowa w końcu czerwca 1945 roku przebiegało w dramatycznych dla ludności niemieckiej okolicznościach, z pominięciem elementarnych zasad humanitarnych. Jednak nie zauważa, iż była to konsekwencja zdarzeń wcześniejszych, a zwłaszcza wywołania przez nazistowski reżim rządzący Niemcami wojny na skalę światową. Tytuł wspomnień pochodzi od redakcji. Tłumaczenie Grzegorz Kowalski (red.).

został zmuszony do opuszczenia leśnictwa dopiero pod koniec lat czterdziestych, ponieważ otrzymał zadanie współtworzenia polskich struktur administracji leśnej.

Na początku 1945 roku do centrum Kostrzyna dotarły trzy sowieckie czołgi, które zostały zniszczone. Doskonale to pamiętam, ponieważ wraz z innymi chłopcami pobiegliśmy na ich „zwiedzanie”. Był to pierwszy zwiastuni wielkiej sowieckiej ofensywy prowadzącej od Wisły po Odrę; jeszcze w lutym miasto zostało ogłoszone twierdzą i niemal otoczone. Pod koniec miesiąca ludność cywilna została ewakuowana przez wehrmacht, ostatnia grupa szła przez mosty na Warcie i Odrze; pamiętam, że jeden z nich był już mocno uszkodzony, a w dolinie Warty można już było wyraźnie dostrzec działa Armii Czerwonej. Dziś pamiętam jeszcze tylko, że po podróży przez Woltersdorf koło Erkner wyładowaliśmy w Berlinie-Charlottenburgu, przy Kantstrasse 107, u krewnych. Byli oni zagorzałymi narodowymi socjalistami i jeszcze przed zakończeniem działań wojennych popełnili samobójstwo. W mojej pamięci pozostaje makabryczne wspomnienie, kiedy nasza rodzina – ojciec, matka i jedyny syn – odwoziła ich, okrytych chustami, ręcznym wózkiem na najbliższy cmentarz, gdzie zostali pochowani; dokładne miejsce pochówku umknęło mej pamięci. Jeszcze w kwietniu ojciec został powołany do Volkssturmu; zginął 21 kwietnia koło Erkner i prawdopodobnie został pochowany w masowym grobie; nie mamy na ten temat żadnych danych. Przy Kantstrasse byliśmy świadkami ostatnich działań wojennych między sowieckimi i niemieckimi oddziałami, których ofiarą padło wielu cywili. Natychmiast po zakończeniu walk – tak mówiła mi mama – zwycięzcy i okupanci wydali rozkazy, że wszyscy zdolni do pracy, kobiety i mężczyźni, mają zgłosić się do usuwania gruzu w dzielnicy wokół Kantstrasse. Było to ultimatum z terminem wykonania, w przypadku niespełnienia Rosjanie zagrozili podpaleniem stojących jeszcze domów. Dopiero później przypomniały mi się w związku z tym porównywalne wydarzenia z innych miast, na przykład z Frankfurtu nad Odrą, gdzie już po zakończeniu działań wojennych spalono niemal całe centrum.

Już w maju – choć dokładnej daty nie pamiętam – sowieccy okupanci wydali rozkaz, że wszyscy Niemcy pochodzący z terenów po drugiej stronie Odry mają obowiązek powrócić do swoich rodzinnych miejscowości. Nie pamiętam żadnego punktu zbornego, ale na pewno jakiś musiał być. W zarekwirowanych wagonach szybkiej kolei berlińskiej, o których mówiono, że jadą do Gdańska, zostaliśmy, z wieloma przerwami w podróży, przetransportowani do Kostrzyna. Była to trasa tradycyjnej Kolei Wschodniej, prowadzącej do Prus Wschodnich. 100 kilometrów pokonywaliśmy przez trzy dni. Widok Kostrzyna budził czyste przerażenie, jak opowiadała mi potem mama. Miasto było niemal całkowicie zniszczone, w tym także nasz dom przy Moltkeplatz. Podczas mojej pierwszej wizyty w 1970 roku rozpoznałem miejsce, gdzie stał, dzięki pokrywie studzienki kanalizacyjnej z napisem Eisenwerke Mannheim – pokrywa ta jakoś wbiła mi się w pamięć. Nie było więc mowy, aby tu zostać. Ponieważ moja babcia po kądzieli mieszkała wraz z jedną z sióstr mojej mamy w Gorzowie, chcąc nie chcąc, udaliśmy się właśnie tam. Gdyby ktoś pytał, jak się tam dostaliśmy, nie potrafiłbym odpowiedzieć, a jednak jakoś się tam znaleźliśmy. Dorosli mieli nadzieję, a także przekonanie, że będą mogli współdziałać przy odbudowie miasta i powoli zacząć w nim normalne życie; świadomość, że ta ziemia i to miasto mają być od tej pory częścią państwa polskiego nikomu nawet nie świ-

tała. Tym niemniej dziwiła wszystkich obecność polskiej milicji i innych Polaków. Jednak nawet to – przynajmniej tak należałoby wnosić z późniejszych wspomnień – nie naprowadziło nikogo na tę myśl. Byliśmy całkowicie przekonani, że cały czas jesteśmy w Niemczech. Widać było jednak, że stosunki między Polakami a żołnierzami sowieckimi były niezbyt dobre, raczej napięte. Po około trzech tygodniach – musiał to być koniec maja lub początek czerwca – wszyscy Niemcy, a więc i my, otrzymali chyba od polskiej milicji rozkaz opuszczenia mieszkań, z których wolno było zabrać tylko niewielką ilość bagażu. Zostaliśmy skierowani do centralnego punktu zbornego. Chyba do dziś można sobie wyobrazić paniczny strach tych ludzi, którzy nie mieli pojęcia, co ich czeka. Dotknęło to szczególnie naszą siedemdziesięcioletnią babcię. Na placu utworzono wielką kolumnę, która ruszyła przed siebie pod nadzorem; ludzie musieli nieść swój dobytek, idąc piechotą. Była to „wędrowka” przez Nową Marchię. W ciągu kilku dni pokonaliśmy następującą trasę: Landsberg (Gorzów) – Berlinchen (Barlinek) – Soldin (Myślibórz) – Bad Schönfließ (Trzcieńsko Zdrój) – Königsberg (Chojna) – Schwedt, gdzie przekroczyliśmy Odrę. Celowo używam niemieckich nazw, ponieważ oczywiście byliśmy przekonani, że jesteśmy w Niemczech. – Jednak nie była to bynajmniej „przyjemna wędrowka”. Kolumnę wciąż zatrzymywały uzbrojone bandy, które żądały wydania cennych przedmiotów pod groźbą użycia siły. Byli to zapewne polscy bandyci, których pełno było w okresie dzikich wypędzeń na niemieckich terenach na wschód od Odry i Nysy. Wśród członków naszej kolumny też były ofiary – zabici i ranni. Droga prowadziła przez lasy, pola i wsie oraz wymienione wyżej miasta, wszędzie widać było ślady zakończonych właśnie działań wojennych, zniszczony sprzęt wojenny, trupy zwierząt, domy w ruinie, napisy cyrylicą, wskazujące kierunek na Odrę i Berlin; kolumnę wciąż wyprzedzały samochody i motocykle Armii Czerwonej i polskiej milicji. Zapamiętałem przy tym szczególnie dwa zdarzenia. Pierwsze z nich to krótkie spotkanie z wujem Fritzem, leśnikiem w Osterburg (Sucha), po drodze do Barlinka. Nie został wypędzony, tylko miał obowiązek – jak nam później donosił – współtworzyć polską administrację leśną w tej okolicy. Opuścił Osterburg (Suchą) dopiero pod koniec lat czterdziestych lub na początku pięćdziesiątych, zabierając swoje rzeczy. Drugie wspomnienie, które nami wstrząsnęło, związane jest z Bad Schönfließ (Trzcieńsko Zdrój). W mieście tym siostra mojego ojca wraz z matką, czyli moją ciotką po mieczu, prowadziła jedyny zakład zegarmistrzowski. Ciotcia miała za zadanie konserwować zegar na wieży kościelnej, który zresztą do dziś jest w użyciu. Jednak 1945 roku, wkrótce po wkroczeniu Sowietów, obie kobiety zostały w bestialski sposób zamordowane, ponieważ chyba nie miały już zegarków ani innych kosztowności; pochowano je po prostu na podwórzu ich domu. Nie wiem, czy zostały później przeniesione na cmentarz. Na to pytanie nie potrafili odpowiedzieć także inni byli mieszkańcy miasteczka, którym zadawałem je po latach. Nasza droga prowadziła od Bad Schönfließ (Trzcieńsko Zdrój) przez Königsberg (Chojna) w kierunku do Schwedt, gdzie przekroczyliśmy Odrę. Dopiero wówczas uświadomiłem sobie, że tereny po wschodniej stronie były już pod polską władzą, zaś po stronie zachodniej znaleźliśmy się w Niemczech pod okupacją sowiecką. Jednak na tym nasza męcząca podróż bynajmniej się nie skończyła. Przez Wriezen i Seelow karawana przeszła dalej, pokonując Oderbruch w kierunku na Frankfurt nad Odrą. Nie potrafię powiedzieć, czy była to nowa kolumna,

czy też szli z nami nadal ludzie, z którymi opuściliśmy Nową Marchię. Wreszcie w połowie lub pod koniec czerwca wylądowaliśmy kompletnie wycieńczeni i niemal wygłodzeni w Müllrose, gdzie otrzymaliśmy jeden pokój na pięć osób u bardzo dalekich krewnych. Moja babcia i siostra z pewnością nie przeżyłyby dalszej podróży. Babcia zresztą zmarła z wycieńczenia po kilku dniach pobytu w Müllrose. Pochowaliśmy ją na tamtejszym cmentarzu. 6 czerwca 1945 roku moja mama otrzymała od administracji cmentarza w Erkner koło Berlina wiadomość, że ojciec zginął 21 kwietnia w czasie walk o Berlin; został pochowany w grobie masowym. Dopiero niedawno w spuściźnie mojej mamy znalazłem tę wiadomość, postaram się odnaleźć opisane w niej miejsce. Pod koniec lipca 1945 roku moja mama, siostra i ja wróciliśmy do Berlina parowcem przez kanał Odra-Szprewa; tam znaleźliśmy schronienie ponownie w Charlottenburgu. Nasza odyseja skończyła się.

Chciałbym jeszcze przedstawić kilka uwag i refleksji pisanych z dzisiejszej perspektywy:

- 1) W czasie opisywanych zdarzeń byliśmy jako Niemcy całkowicie oderwani od jakichkolwiek źródeł informacji. Nie mieliśmy pojęcia o decyzjach i umowach przyjętych w Jałcie; nawet postanowienia z Poczdamu docierały partiami i powoli. Oderwanie naszej ziemi rodzinnej od Niemiec było dla nas czymś niewyobrażalnym.
- 2) Nasze wypędzenie z Landsbergu i Nowej Marchii było częścią dzikich wypędzeń, ponieważ odbyło się przed konferencją poczdamską.
- 3) Po śmierci mojej mamy i innych krewnych, a także wielu starszych świadków historii, robię sobie wyrzuty, że tak mało rozmawiałem z nimi o tamtych czasach i tak mało stawiałem pytań. Wiem, że podobnie myśli wielu moich rówieśników, którzy mają za sobą takie przeżycia.
- 4) Było czystym przypadkiem, że w czerwcu 1945 roku znaleźliśmy się w Berlinie-Charlottenburgu, tzn. w zachodnich sektorach miasta. Równie dobrze mogłoby to być późniejsze NRD.